Nr. 28. Lwów — 1888 r. Rok XI.

GONIEC

Numer pojedyńczy 15 ct. Numer pojedyńczy 15 ct.

DZIENNIK DLA WSZYSTKICH.

„Goniec“ i „Iskra“ wychodzą każde po dwa razy na miesiąc — razem cztery razy. Oprócz tego tak do „Gońca“ jak i do „Iskry“ dołącza się stale osobny **Dodatek powieściowy** dla wszystkich prenumeratorów. Prenumerata *na obydwa pisma z dodatkiem powieściowym* wynosi tak w miejscu, jak i naprowincji kwartalnie: 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. W Poznańskiem i w Niemczech 16 marek rocznie, we Francji i innych krajach, oraz w Ameryce i innych zaoceanowych krajach 20 franków (4 dolary) rocznie — stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych, albo pieniężnych: **do Administracji „Gońca“ i „Iskry“ we Lwowie, ul. Kraszewskiego l. 23.** Z Ameryki najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi *w listach rekomendowanych.* Listy powinny być frankowane. Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego miejscowego prenumeratora. Za odnoszenie do mieszkania numerów, dopłaca się roznosicielowi 5 ct. miesięcznie.

Właściciel i naczelny redaktor: M. D. Chamski.



MILAN,
król serbski.
(Rysowane z drzeworytu).



NATALJA,
królowa serbska.
Rysowane z fotografji Lowego z Wiednia).

Od Administracji.

Usilnie prosimy szanownych prenumeratorów o odesłanie zaległej i bieżącej prenumeraty. Wydawnictwo ma liczne wydatki i wszelkie zaległości są bardzo uciążliwe Sądzimy też, iż jest obywatelskim obowiązkiem popierać uczciwą pracę pism polskich, a nie lekceważyć ich interesa i krzywdę im wyrządzać.

Prenumeratę najdogodniej przesełać przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych, albo pieniężnych do: *Administracji „Gońca“ i „Iskry“ we Lwowie.*

Nowo przybywający prenumeratorowie otrzymują początek drukującej się w *dodatku powieściowym* do „Gońca“ i „Iskry“ powieści większej: **Nasze Życie.**

Król Milan i królowa Natalja.

(Do portretów).

Podajemy dziś wizerunki królewskiej pary obok siebie, która właściwie powinna przedstawiać figurę.. dartego orła... Ludzie, bo wszędzie są ludźmi, pod słomianą strzechą i w królewskich pałacach... Lubią się — i czubią się... Król Milan, władca Serbji, która nawiasem powiedziawszy, nie wiele jest większą od kilkunastu starostw galicyjskich, rozłączył się ze swoją prawowitą małżonką, królową Natalją... Było to małżeństwo zawarte z miłości. Milan był z rodu panujących — Natalja zwykłą córką bogatego rumuna znajdującego się w służbie wojskowej rosyjskiej, jako pułkownik. Był to więc mezalians. Ale takie „mezalianse“ są bardzo częste w rodzinach królewskich, do których wciskają się piękne, albo niezwykłego umysłu i serca kobiety z innego świata, a czasem i z szarego... — Po kilkunastu latach prysła miłość — a nawet jej owoc, pierworodny syn, nie zdołał przy sobie zatrzymać powaśnionych rodziców... Czy była dobrą żoną Natalja i matką — niezawodnie, ale, ze nie umiała być królową, to także nie ulega najmniejszej wątpliwości. Zapewne, że król może i zanadto stał się obojętnym na wdzięki swojej małżonki, a powolnym i słabym w obec innych kobiet — ta jednak, której włożył koronę królewską, zeszła do rzędu zwykłych rywalek.. Nie umiała być królową.. Ale, jak wyżej powiedzieliśmy, ludzie są wszędzie ludźmi, a namiętności urodzone, szczególniej, w sercu i obrażonej dumie, często nie liczą się z Bogiem, a cóż dopiero z koroną ludzką na głowie... Do tej awantury królewskiej dodają trochę przymieszki politycznej — mówią, mianowicie, że Natalja oddana Rosji, chciała w tym kierunku wywierać wpływ na polityczny kierunek w Serbji i, że nawet syna swego w przychylnych i oddanych dla rządu rosyjskiego sympatjach, wychować chciała. Król stanowczo się temu oparł i ztąd cała awantura, przymusowy odbiór syna od matki, rozwód i t. d. Może i jest w tem trochę prawdy, ale tylko trochę — w rzeczywistości, polityka przyszła tylko w pomoc rodzinnym i czysto małżeńskim rozterkom... W każdym razie, królowa Natalja, jeśli pragnęła odegrać jakąś rolę polityczną — nie doszła do niej i okazała się najzwyklejszą kobietą w świecie...

Wielu utrzymuje, że królowa Natalja jest piękną. Jest nią istotnie, ale piękność to zwykła, zmysłowa — brak jej tego duchowego piękna i tych rysów wyższego i podniosłego umysłu.. W zwykłym pałacu magnata, możeby potrafiła niedołęgę męża trzymać pod pantoflem, w koronie królewskiej okazała się kobietą, namiętną i upartą, ale najzwyklejszą pod słońcem — tulenie się zaś pod skrzydła rosyjskiej opieki, było jedyne... ucieczką do domu znajomych i krewnych.

Królowa Natalja, jest krwi mięszanej: rumuńsko-rosyjskiej — z przekonań jednak, jak sama utrzymuje, jest „rosyjską patrjotką“. Kłaść na głowę koronę, niezawisłą, królewską, aby w niej być „patrjotką rosyjską“, to już chyba lepiej i korzystniej było zostać jaką panią jenerał-gubernatorową w Rosji...

Czy poróżnieni małżonkowie królewscy wrócą do siebie — można być pewnym, że chyba nie... I można być także pewnym, że królowa Natalja nie odegra żadnej, a żadnej roli politycznej, a głośna obecnie sprawa, będzie ostatnią w jej karjerze dyplomatycznej.

Trzeba też przyznać z całą bezstronnością, że król Milan, używał wszelkich sposobów, aby

uniknąć skandalu przed oczami całej Europy i okazywał się bardzo powolnym w obec rozzuchwalonej zewnętrznymi podszeptami małżonki — trafił jednak na upór kobiety rozdrażnionej — musiał go złamać — i złamał...

Od ręki.

= Zaprawdę, ludzkość szybkim krokiem posuwa się ku Eldoradowi próżnowania! Maluczko, a ujrzymy, że wszystko za człowieka będą robiły rozmaite przyrządy, wywdzięczając mu się za to, że je wynalazł, a on będzie sobie wygodnie leżał, lub siedział z założonemi rękami, albo będzie sobie jadł, pił i palił cygara, jeśli nie wynajdzie aparatów, któreby go i w tych funkcjach wyręczały. Już od dość dawna sztukę malarską zastępuje po części fotografja, prześcigając ją niekiedy w dokładności kopiowania natury; obecnie zanosi się na to, że fonograf podejmuje się za człowieka sztuki pisania dziejów, a przewyższy go w ścisłości pod względem szczegółów i wprawdzie odtwarzania wydarzeń, mianowicie, gdy idzie o dzieje jednostki.

Wynalazca fonografu, znany amerykański urzędnik od wynalazków, mianował już swój aparat historjografem swej świeżo narodzonej córki, od chwili jej przyjścia na świat. Umieszczony w pokoju dziecka, nowy ten dziejopis przyjmuje w siebie wszystkie jego niemowlęce głosy, płacz, śmiech, wyrazy jakiemi doń przemawiają, jakiemi go uspakajają matka, mamka, niańka; następnie przyjmować będzie wszystkie po dziecinnemu wyrazy, zawrze w sobie cały jej postęp w sztuce mówienia, — a kiedyś, dorosłej pannie Edison, otworzy żywym głosem cały ten drobiazgowy pamiętnik jej żywota.

Wyobraźmy sobie, gdyby tak każdy człowiek sprawił sobie fonograf i nosił go z sobą wszędzie przez całe życie, ile to i jakiego natworzyłoby się materjału historycznego!... Tylko, co prawda, wtedy trzebaby było wynaleść nowy aparat, któryby materjał ten rozklasyfikował, uporządkował, i w jakieś ogólne dzieje ułożył, bo człowiek radyby sobie nie dał...

Swoją drogą, oprócz zastosowania go do historjografji, fonograf opłacił się swemu wynalazcy, ziomek, bowiem, Edissona, mr. Lippincott, nabył od niego za okrągły milion dolarów prawo eksploatowania tego wynalazku tylko w obrębie Ameryki, podczas, gdy prawo to na Europę i inne części świata wynalazca zastrzegł sam sobie.

W Ameryce, doprawdy, warto robić wynalazki, tam wszystko zużytkuje i wyzyska zaraz spekulacja, która w ojczyźnie yankesów przybiera niekiedy rozmiary i formy, w które trudno byłoby uwierzyć, gdyby one nie były faktami dotykalnymi, jakie każdy sprawdzić może. Niedawno temu, naprzykład, niejaki Linnel, zaproponował rządowi rzeczypospolitej San-Domingo, żeby mu powierzyła do eksploatacji zwłoki Krzysztofa Kolumba. Chciał on je, pod strażą czterech żołnierzy rzeczypospolitej i czterech księży, którychby, naturalnie, utrzymywał na swoim koszcie, obwozić przez cztery lata po Stanach Zjednoczonych, ofiarując za to pomienionemu rządowi połowę zysku ze sprzedaży biletów, a gwarantując minimum 200,000 dolarów rocznego dochodu. Atoli rząd ten nie dorósł jeszcze do wysokości poglądów spekulanta yankesa, albowiem odmówił pozwolenia swego na tak ponętną, zresztą, dla siebie propozycję, nadmieniwszy nawet coś o świętokradztwie...

Już to yankesi ową żyłkę, a raczej żyłę spekulacji wzięli w spadku po mamie Anglji, która, jak na szanującą się mamę przystoi, dotąd nie chce im ustąpić kroku, zarówno w ryzykach, jak w potwornościach spekulacyjnych. Obecnie naprzykład anglicy na wielką skalę poczynają traktować spekulację na ubezpieczaniu dzieci. Operacja to, bardzo prosta: ubezpiecza się dziecko, jak najwyżej, a p tem, jak najrychlej umarza się je głodem, lub wyprawia na tamten świat w jakikolwiek inny sposób, byleby nie pozostawiający po sobie widocznych śladów śmierci gwałtownej. Pastor Waugh, sekretarz towarzystwa opieki nad dziećmi, twierdzi, że tysiące dzieci w ten sposób umiera corocznie w Anglji przedwcześnie. Jaki to ładny, pewny, a niewinny zarobek — i jaki to miły obraz stosunków rodzinnych!... Nie prawdaż?...

Na Czarnym szlaku.

napisała

Janina Sedlaczek.

„Ponad Ukrainą
„Wskróś okolicą jarzącą się, siną,
„Boże śpiewaki ciągną w różne strony,
„Aż w uszach klaszcze, taki gwar zmącony,
„Nie ma bo rady, dla duzzy kozaczej,
„U nas inaczej — inaczej — inaczej!“

B. Zaleski.

Gromy walą wśród stepów, błyskawice świecą, jak djabelskie kagańce. Zgroza przejmuje skórę, strach gryzie kości — tu szeroki świat — naddnieprski świat!

Jak huragan, na szybkim koniu pędzi kozak, stalą błyskając straszniejszym oczom światła burzy. Zmarszczył, zarył czoło w czapkę; nie widzi światu bożego, bo noc czarna, jak kruk, a umysł kozaczy czarniejszy od nocy. Myśl go jakaś pali i szarpie, krew jego gorąca, jak lawa, aż konia, zda się, piecze w kopyta, bo pędzi, a pędzi, na złamanie karku...

O, burzliwą masz duszę kozacze, szaloną, jak ten wicher stepowy, co świszcze i dmie w twe plecy — wywraca drzewa i łamie nawet nieustraszonych.

On się lęka, szarpie burką aż frendzle z niej wiszą, kąsa swe palce, a gwiżdże i huka od czasu do czasu.

Nie poznasz, nie poznasz go, bo żądza go jakaś w żar swój spowiła, lice mu przemieniła, oczy przerobiła na groźnie błyszczące karbunkuły; a ręka, to już nie ręka, ale jeden muskuł olbrzymiego ramienia gladjatora.

Synu Ukrainy, urodny, a straszny zaporożcu! Po co pędzisz nocą? Co za licho gna cię tak wściekle, że prześcigasz wichry? Czego zgrzytasz zębami?

Burza wre w około — a tobie w sercu groźniejsza kipi zawierucha.

W tę samą noc, stepem, na czworakach, podsuwa się wśród puszczy olbrzymiej trawy, nędzne małe chłopię, niby spłoszona żniwem przepiórka.

Zoczył pomykającego niżowca, i krzyż zakreślił na czole, biorąc go za hasającego djabła, za poganiacza zawieruchy.

— Majak mnie napada, Boże ratuj! szepnął chłopak, widząc zatrzymującego się kozaka.

Skamieniał ze strachu, a strach go, jak zmora schwycił za gardło i oczy na wierzch wysadził.

Nie ujdziesz oka zaporoskiego, tembardziej, gdy zaporożec rozjuszony.

Błyskawiczne to, przenikliwe, daleko widne oko...

Kozak wstrzymał konia, spisę w ziemię zapuścił. Dusza usiadła mu na słuchach. Najlżejszy powiew olbrzymieje dla — zaostrzonego zmysłu. Szmer go lekki doszedł, szmer poruszającej się, czy poruszanej sumiastej trawy.

W tem błysł piorunny kaganiec i oświecił małą, ludzką główkę po nad trawą. Kozak spiął konia.

W jednej chwili, nagłym rzutem ramienia wyciągnął chłopaka za włosy.

— Co tu robisz psia wiaro? Możeś ty najmita tych, co mi futor spalili? Może ty ich brat? Może swat? Hej otwórz paszczekę, bo koniec tej iglicy w gardle utopię! wołał wywijając spisą, przed oczyma pacholęcia.

— Prostit! pane brate! — ja tu przed burzą skrył się — wyjęknął chłopak.

— A coś ty za jeden? Cham, czy pan?

— Chamiątko tylko! odrzekł naiwny.

— Skądżeś się ty przyczołgał? poczwaro!

— Ja, ot tam z tej jarugi, gdzie Siniucha wpada do Sinej Wody; od początku szpakowego szlaku.

— A szpakowcze diabelski! A hulackie, piekielne bydlę! Więc żłopałeś i ty krew mej rodziny, żarłeś popiół mego futoru. A łotrze! Przepadnij, szczeźnij psie!

I rozwścieklony kozak zanurzył w gardle chłopięcia długą, kończystą spisę.

Pacholę padło martwe na trawę, co mu przed chwilą schronieniem, a teraz ubarwionym krwią grobem była. Jakże różnolicowy czas!

— Jedź zbóju! — słyszy kozak głos za sobą.

Ogląda się — nie ma żywej duszy około niego.

— Pędź piekielniku! szumi mu powtórnie koło uszów.

Nieulęknionemu, wlazło przecie trochę strachu w piętę.

Stanął i zasępił się, jak chmura, co przeciągała mu w tej chwili nad głową.

Życie całe, jakby zjawisko deuteroskopji, jakby sobowtór wszystkich dni od kolebki do tej nocy, stanęło przed obliczem jego duszy.

Awanturnik siedmnastoletni, syn ruskiego bojara, z którym rady sobie w domu dać nie mogli, czmychnął jednej, podobnej, jak ta nocy, na kresy. Poszedł na wzór innych wałęsaczów i rozbitków losu „w kozaki“.

Lazł i wlókł się o głodzie nad brzegami Dniepru, aż dopadł wolnej czajki i pofalował chyżo sinymi wodami do ostrowu dnieprowego, zwanego Tomakowcami. Tu tchnęła weń, czerń kozacka, niepodległego, wojowniczego ducha swego pierwszego organizatora, księcia Dymitra Wiśniowieckiego, który bił, a tłukł sobą w różnych życia kolejach, aż nareszcie rzucony na ostrów Chortycę, wzniósł tu obronny zamek, skupił koło siebie kozactwo, a gdy wyspa mieścić już tej licznej ćmy nie mogła, popłynęli wartkiemi czajkami na sąsiednie.

Takim sposobem znalazł się i nasz kozak w pułkach tomakowieckich. Dzielny i ambitny ataman Dymitr, skończył najsmutniej, bo na palu, w Konstantynopolu. Lecz ze śmiercią organizatora nie przestała sypać się wciąż na ostrowy hulaszcza szlachta i tysiące zawalidrogów i błędnych rycerzy najrozmaitszej narodowości

Kozactwo żyć więc i utrzymywać się potrzebowało. Panowie Rzeczypospolitej nie płacili żołdu, magnaci ukraińscy, których posiadłości zaporożce własną piersią przed najazdami tatarstwa zasłaniali, zapomnieli o ich zasługach, zostawiając je bez nagrody, ale zato pamiętali głęboko i długo ich przewiny.

Rozhulane duchy, niepotrzebowały wiele, aby wyjść z wszelkich karbów... Wszakże żyć musieli. Nie było środków utrzymania, to się urządzało zbrojne wycieczki na obce, a nawet na pańskie terytorja, aby stamtąd unieść trochę łupu do swego, sokolego gniazda, na ukochany Niż, na Dzikie Pola.

Rybołostwo, myślistwo i bartnictwo nie wystarczało, zresztą, sposób to życia za gnuśny, za patrjachalny dla kozaczej duszy, kozakowi pachły zawsze „ułusy“ z tatarami.

Drużyna kozacka ciągnęła w obce, najczęściej tureckie i tatarskie ziemie, a za to czarnomorcy wpadali z mieczem i buńczukiem, odwetu.

Stąd więc napady i burdy, i krwawe odwety ciągnące czarnym, czyli szpakowym szlakiem, albo, jak go muzułmanie zwali: Kerma-Joli.

Raz po takim napadzie wiózł nasz kozak Trofym, bogate łupy. Naładował trzy konie zabrane turkom, najprzepyszniejszymi materjałami, drogocennymi klejnotami i pędził, co tchu do futoru, by swą mołodycę, w bogatą, a delikatną otulić jupkę.

Koń sypał iskry z pod kopyta, pryskał szerokimi nozdrzami, stepowa krew grała mu w ciemnych żyłach, aż zarżał przed futorem i zarył kopyta w ziemię.

Wybiegła młoda krasawica i wyciągnęła do mołajca rączęta.

On przycisnął ją do ognistej piersi i pobiegli do chaty.

— Tu siedział stary, poważny kozak, bat'ko Hryhoryj. Białą miał, jak puch brodę, a długą po pas.

Głowa srebrna, czoło poorał pług walki i trudów życia. Hryhoryj, ojciec gromadzki — ojciec tej krasawicy, co sierotką w step zbłąkała się i przy ognisku powszechnie poważanego ojca drużyny przytułek znalazła. Lat już dziesiątek na stepie; urosła też śliczna i dobra, jak anioł. Mołojcy mówili, że to laszka. Trofym strzegł futoru, a do dziewczyny zbliżyć się nie pozwolił, bo ona Trofyma wybrała. A teraz, gdy przyjechał, oczki jej się śmiały z wesela. Oboje pochylili się do kolan ojcu Hrehoremu, a on drżącą pobłogosławił ich ręką.

I byli szczęśliwi.

Puszczyk hukał nieopodal na drzewie, ale nikt nań nie uważał, bo każdy miał w duszy cały światek radości i tonął w lubej atmosferze tego światka. A serca nie biły im ich własne, bo pomieniali je sobie wzajemnie.

Lecz im gwałtowniejsza radość, tem niebezpieczniejsza, tem krótsza.

Do świtu, wsunął się do chaty nieznany kozak, z którym Trofym wyjechał natychmiast. Mija tydzień, mija drugi, Trofym nie wraca.

Bez pożegnania dosiadł konia, jakby za godzinę miał powrócić a tymczasem i setki godzin nie przyniosły go na swych barkach — a tu mołodyca i ojciec łzami witają wschód słońca i łzami gaszą jego blaski. Przecież musi powrócić?! — Ot właśnie o zmroku zadudniała ziemia, kopyta końskie zaryły się przed futorem.

Spadła czereda niżowców z chwackich rumaków i pakuje się i tłoczy przez niskie drzwi do chaty.

Bat'ko Hrehoryj, skoro ujrzał naczelnika tej bandy, wydał okropny, dziki okrzyk.

Był to zawzięty wróg jego i Trofyma, z którym poróżnili się śmiertelnie przy rozdzielaniu zdobytych na wyprawie łupów.

Słaba ręka Hrehorego, nabrała w chwili niebezpieczeństwa hartu. Groza, ma to do siebie że wskrzesza zardzewiałe pierwiastki siły, skupia jej atomy i zadziwiające wydaje owoce.

Hrehoryj sięgnął po wiszący nad tapczanem kord i rozpłatał nim głowę jednemu z mołojców. Natarli nań inni i podczas, gdy sędziwy bat'ko odcinał się gwałcicielom ogólnego szacunku dla tego gołąbka, uprowadzili oni Trofymową krasawicę, a jego zarąbali.

Splądrowali chatę, a potem ją z dymem puścili. Jeszcze tego samego dnia nadjechał Trofym. Ryknął straszliwie, jak lew ugodzony w serce, na widok zgliszczy. Usta okryły mu się pianą, runął bezprzytomny na ziemię.

Gdy przyszedł za dobrą chwilę do zmysłów, ścisnął krzywą szablicę w dłoniach i z przekleństwami zawrócił w drogę.

Ale dalej pod przekopem, nowa go, straszniejsza czekała niespodzianka.

Uprowadzającym Tryfomową kozakom, rwała się ona i krzyczała w niebogłosy. Jeden z unoszących ją, podpiły i zniecierpliwiony tym krzykiem uderzył ją maczugą po głowie tak nieszczęśliwie, że w kilka minut, trupa już tylko wlekli za sobą. Ciężar był nieznośny wolnym mołojcom, porzucili go więc na stepie i tu spotkał trupa Trofym...

Zacisnął palce, że aż mu paznogcie w ciało się wpiły, rzucił kilka piekielnych przekleństw, uciął nożykiem zwój włosów, włożył je w zanadrze i pogalopował, cały drżący od wściekłości i rozpaczy...

Żal u kozaka kipi i nie spada łzami — ale rwie mu żyłkę po żyłce, nerw po nerwie, szarpie, targa, gryzie... aż... zobaczym co się stanie z tym synem wolnej, bujnej Ukrainy.

Dawniej biegł on tym szlakiem wesoło, na skrzydłach niosło go kochanie do zagrody domowej, pełną, szeroką piersią śpiewał szumki i dumki, zawodził tęskno, lub skocznie, a dziś, w miejsce tego wszystkiego, piekło ma w duszy. Krew mu się burzy, szaleje, krew go tylko otrzeźwić zdoła.

Pragnieniem zemsty miotany wywlókł to małe biedactwo, co kryło się w trawie, napadł je i iglicę kozacką, spisę okrutną skąpał w jego serdeńku niewinnem...

Zbladły chłopięciu jagody, kwrwią się zabarwiła szyja i struga tego płynu zbiegła aż na chude piersi.

Znowu błyskawica łysnęła nad nimi. Trofym stoi, jak przykuty, wpatrzył się w ofiarę swej wściekłości, a coś mu woła nad uchem! Zbóju! Rzezańcze! Całe życie twoje szło etapami mordu, a znasz ty koniec tego żywota? Wiesz, co cię czeka? — W walce nikt z zabójstwa sprawy nie zdaje; tniesz, rąbiesz, ani wiedząc, czyje dni przecinasz, kogo trupem powaliłeś — ale tu, pod ciemnem niebem, wśród okropności nocy i rozszalałej burzy — gdzie żadne ludzkie nie śledzi cię oko, dłoń Boża zawisła nad tobą! Trybunał własnego sumienia twego, z surowym stanął kodeksem. Ściga cię jego sąd, jego wyrok, potępieńcze! Nieszczęsny! Podniosłeś zbrodniczą rękę na niewinną, słabę i bezbronną istotę. Przeciąłeś jej nędzny, ziemski byt, i cóż zyskałeś? Oskarżenie zabójcze sumienia. Sumienie, straszna to władza. W dzień, marę z ciebie czyni, w nocy powieki rozdziera...

Głowa kozaka chyli się już prawie ku ziemi. Trofymie! woła nieubłagany sędzia — gdybyś ty miał podobne pacholę, gdyby to był syn twój Trofymie, a zaporożec połknął go wśród nocy, rzucił zakrwawionego, pokłutego spisą w wysoki burzan, — czybyś mu przebaczył? Dzika ukraińska, stepowa duszo, powiedz, czybyś mu przebaczył, gdyby to był syn twój maleńki... Ach, czemużeś go zabił?

Błyskawica po setny może raz oświeciła step i olśniła wody Siniuchy.

Kozak oprzytomniał trochę, lecz nie mógł, ani kroku postąpić. Żegnać się począł krzyżem św. i probował modlitwy, ale coś mu plątało słowa, rwało myśli, znowu przestał być panem siebie.

Zdawało mu się, że widzi Chrystusa małego, co na tem żywem sianie Ukrainy na świat przyszedł ludzi zbawiać. Jaśniał boską światłością, boskie miał oblicze, majestat niebios w źrenicach; trzymał krzyż w rączce, a w drugiej ewangelią otwartej na tym rozdziale, który siwy ojciec czytał Trofymowi po raz ostatni.

Dziecię boskie przyszło go zbawić, a on doń za krzyż odkupienia, z ewangelją, spisę jeżą w sercu topi. Serce to zamiast zemsty, miłością i przebaczeniem go darzy...

Gdyby to syn był twój Trofymie, czybyś przebaczył mordercy?

Tak, w imię tego krzyża przebaczyłbyś mu? Pierś kozacka okropnie wezbrała boleścią.

Jednej nocy stracił wszystko!

On, co dotąd nie tknął się dziecka ni kobiety żelazem morderczą siłą, dziś zmazał się niewinną krwią dziecięcia.

„Co czynicie jednemu z tych maluczkich, mnie czynicie".

Te słowa wryły mu się w mózg silnie; ojciec tak często je czytał O czemuż nie powstrzymały jego ręki przed popełnieniem zbrodni? Czemuż nieszczęsnemu nie przyszły wówczas na myśl? Bezdenna wściekłość rozpaczy, ogłuszyła go i pochłonęło całe jego jestestwo, nie pozwalając żadnym działać wpływom i przypomnieniom, żadnemu głosowi wewnętrznemu. Stał teraz złamany. Ścisnął dłonie i padł bez ducha obok chłopięcia.

Szerokie, mężne serce kozacze nie mogło pomieścić tylu okropności. Wezbrane rozpaczą pękło! Czara życia przepełniona... prysła od nadmiaru boleści.

Pokój, przebaczenie nieszczęsnemu! — prosi rozległy step spokojnym szumem. Kłoni swe trawy i burzany ku ziemi, niby w pokorze błaga za synami tej ukraińskiej gleby...

Ojcze, co wszystkie stworzyłeś dusze — ulituj się nad tą zaporoską, bo jej szlachetności nie brakło, była bohaterską i mężną, litować się, przebaczać umiała, a tylko wśród huraganów życia, zatraciła hamulec woli i uczucia.

„Dziś step skrapia, co porana,
„Czysta rosa niezmieszana
„Z krwią tatarską, lub turecką" —
Inny nastał czas.

Z różnych pism.

Jakie to cudne kwiatki w teraźniejszej Rzeczypospolitej Francuskiej.. Kiep Rosja!.. Na dowód — oto oryginalna korespondencja:

Po powrocie z Tonkinu, lipiec 1888.

Polaków w legionie francuzkim, tak zwanym *légion étrangère*, dzisiaj nie ma wiele, a liczba nowo przybyłych coraz bardziej się zmiejsza Gdym przybył do Afryki w 1884 roku, było ich zaledwie kilkunastu; w grudniu 1887 r. liczba ich zdwoiła się wprawdzie, lecz iść w porównaniu nie może z dawniejszymi czasami, podczas wojen meksykańskiej, włoskiej i krymskiej, w których legion czynny brał udział, wtenczas bowiem polacy stanowili prawie trzecią część korpusu.

O ile dawniej polacy chcieli służyć we francuskim wojsku, o tyle dzisiaj przy obecnym zarządzie i organizacji służba ta im do smaku nie przypada. Każdy polak bez wyjątku, dni kilka tylko w legionie przebywszy, radby się wynieść, jak najprędzej. Wejść tam bardzo łatwo; wyjść jednak jest rzeczą prawie niemożebną Opiszę tu w krótkości moje do legionu wstąpienie.

Zapisałem się w Lyonie; odesłano mnie do Marsylji, gdzie po raz pierwszy zapoznałem się z moimi przyszłymi kolegami we forteczce St-Jean. Dwie sale pełne połamanych łóżek pokrytych brudnymi siennikami, bez prześcieradeł, ni kołder; kilkunastu obtargańców częścią na łóżkach leżących, częścią przy stole grających w karty: oto moja pierwsza kwatera i moi nowi towarzysze broni. Wszedłem do sali z hrabią Lanzdorfen, rossyjaninem, który podobnież, jak ja w łapkę wpadł. Wszyscy na nas oczy wytrzeszczyli, jedni sie z łóżek podnieśli, drudzy grać przestali, widać było, że chcieli swoich świeżo przybyłych kolegów powitać; lecz mimowoli obadwajśmy się za drzwi wynieśli i do sali więcej nie powrócili. Kapitan dowódzca forteczki, dał nam pozwolenie w hotelu noc przepędzić. Na drugi dzień o 4. z rana znajdowaliśmy się na parowcu, w drodze do Algieru.

W Algierze to samo, co w Marsylji z tem, że nas z koszar więcej puszczać nie chciano, bo, jak podanie głosi, za czasów kiedy wolno było z koszar wychodzić, zazwyczaj kilku, szczególniej ci, co jeszcze trochę pieniędzy posiadali — znikali. Pan hrabia smutno to po sali, to na swoich nowych towarzyszy spoglądał i po długim namyśle postanowił, że tam spać nie będzie. Poszliśmy więc do dowódzcy koszar i dostaliśmy pozwolenie zostać w mieście aż do dwunastej w nocy, lecz z warunkiem, że nam kilku podoficerów od żuawów towarzyszyć będzie. Kosztowała nas dosyć ta eskorta. O dwunastej w nocy gotowy na wszystko do koszar wróciłem; lecz hrabia wrócić nie chciał. O 2. z rana podpici podoficerowie przyszli mi oznajmić, że tam gdziem go zostawił, w łeb sobie z rewolwera palnął.

Tego samego dnia przybyliśmy do Sidi-Bel-Abbés, depôt pułku w Oranie. Wprowadzono nas na dziedziniec pomimo zimna dosyć ostrego (było to 3 stycznia, a śnieg zazwyczaj o tej porze tam pada), rozebrać się nam kazano. Czekaliśmy pół godziny na dziedzińcu we własną swoją skórę tylko odziani na zimną kąpiel, którą nam dać miano i na bieliznę wojskową, bo do koszar w brudnej bieliźnie cywilnej wejść nie wolno rekrutowi. Ktoś pomyślał, by sobie, że tam tak czysto! Wielu, przeglądając po kąpieli swoje rzeczy, albo zegarka nie znaleźli, albo pieniądze im brakowały, a który się z nich odważył reklamować, pięścią w łeb dostał od podoficera, czem mu dano do zrozumienia, że takiemi drobnostkami w legionie nikt się nie zajmuje. Inny znów dostał kułaka, bo skarżył się, że mu zimno, trzeci nogą w plecy bo żalił się, że chory. Piękne przyjęcie młodych w pułku żołnierzy! Przespano noc na podłodze bez przykrycia, gdzie kto mógł, to się położył. W Algierze, gdyśmy odjeżdżali zapomiano nam zapłacić żołd, a w pułku nam powiedziano, że to ich nic nie obchodzi, że uważają nas, jako zapłaconych i nakarmionych aż do dnia następnego Tej samej nocy przypominam sobie, jeden z młodych żołnierzy, który miał 2 miesiące służby, na schodach się powiesił.

Po kilkunastodniowym pobycie w Sadi-Bel-Abbes, gdy każdy był ubrany, wyekwipowany i wyćwiczony w sztuce wojennej, odesłano nas w głąb Afryki. Do Geryville, 14 dni marszu, do Tiaretu 11 dni po 30 36 kilometrów 25 kilo na plecach, nie licząc strzelby ani żywności, którą trzeba było brać ze sobą i to po drogach, gdzie w miesiącu styczniu po kolana w błoto się grzęzło. Naturalnie, młodzi żołnierze gromadami na drodze ustawali. Dwóch znowu się na drodze zastrzeliło, wielu zachorowało i jakich trzydziestu ze wszystkich uciekło. (W przeciągu kilku dni arabi i żandarmi ich połapali). Na etapie, jeżeli deszczu to gotować nie można, bo drzewa nie ma, a trawa palić się nie chce, a jeżeli deszczu nie ma, to nie ma wody. Po pięćdziesięciu przeszło latach francuzi się na to nie zdobyli, ażeby żołnierzom w Afryce (Oranie) urządzić schronienia i w drzewo ich zaopatrzyć. Etapa to pustynia, obok studni, w której zazwyczaj wody nie ma, lub nic ma jej czem wyciągnąć, bo studnie bardzo głębokie. Jednego razu piętnastu nas ciągnęło przez kwadrans czasu blisko — wyciągnęliśmy jakie 2 litry wody żółtej, jak barszcz polski. Nareszcie znużeni, wygłodzeni przymaszerowaliśmy i każdy z nas przydzielony został do kompanji, w której miał swoje pięć lat przepędzić.

Nie będę się rozwodził, opowiadając o wszystkich gwałtach i nieludzkości, jakim podlegają młodzi żołnierze w legionie ze strony, tak oficerów, jak podoficerów, dosyć powiedzieć, że na 100 żołnierzy w przecięciu: 5% życie sobie odbierają; 60% umierają z nędzy i wysilenia w Tonkinie i Afryce; 25% marnieje w więzieniach *(travaus forcés, à la Nouvelle Calédonie, travaux publics)*, po największej części za dezercję i niesubordynację, a 10% zaledwie szczęśliwie swój czas przetrzymuje. Widać to dobrze z tego, że co tydzień oddziały, liczące 60 do 100 ludzi, do legionu przychodzą, a 5—10 zaledwie tygodniowo wysłużonych odchodzi. Muszę nadmienić, że wielu także się naumyślnie kalekami robi, n. p. palec sobie ucinają, oko wykłuwają etc. etc., aby się prędzej służby pozbyć.

Po kilku miesiącach pobytu w kompanji, odsyłają młodego żołnierza do Tonkinu, albo w kolumn w głąb Afryki, albo go używają do budowy dróg, tłuczenia kamieni, lub budowli koszar, fortyfikacyj, etc. etc. Pieniądze, co ma zarobić przy tych robotach, mają służyć na polepszenie pokarmu, w rzeczywistości jednak wpadają w niezgłębione kieszenie furjerów i oficerów, którzy tam doskonale interesa robią. Zuchwalec, co by chciał się skarżyć, skazany bywa zazwyczaj na więzienie Wieleż razy widziałem żołnierzy, proszących o kawałek chleba, kradli nawet czasem z głodu. Legionista jest okradany, bity, gnębiony, słowem, los jego jest losem psa u złego pana.

Przejdźmy do polaków. — Jakem wyżej już powiedział, żadnemu z nich służba w legionie do smaku nie przypada. Gdy się polacy razem zejdą wieczorem lub w niedzielę, szczególniej młodsi żołnierze, o czem innem nigdy nie rozmawiają, tylko, jakby uciekać. Starsi wiedzą, że to niemożebne, dla tego młodszych od tego odmawiają i dobrą radę dają, aby się zupełnie poddać losowi. Dziwna też w nich z czasem następuje zmiana. O ile z początku zupełnie są zniechęceni, o tyle powoli nabierają otuchy i rezygnacji, i bardzo często, a nawet zawsze galonów się dosługują, a wtenczas lepiej, już idzie.

W legionie polacy żyją z sobą w najlepszych stosunkach — nigdy się nie kłócą. Podoficer, kapral, żołnież, rekrut, schodzą się razem, bez różnicy stopnia; kto ma pieniądze płaci, — gada się, pije, śpiewa, a o 9. wieczorem razem do koszar wracają.

Najwięcej polaków z Królestwa Polskiego, następnie z Poznańskiego, najmniej z Galicji.

O ile ze wszystkich innych narodowości przybywają do legionu ludzie nieoświeceni, wieśniacy, lub robotnicy skłonni do kradzieży, pijaństwa i próżniactwa, o tyle polak jest wykształcony, inteligentny i pracowity. Wyszli oni za granicę, albo, jako przestępcy polityczni, albo z wojska drapnęli, lub z zamiarem zobaczenia świata. Nieświadomość, zazwyczaj brak roboty i utrzymania popchnęły ich do legionu; każdy z nich przyszedł myśląc, że we francuskim wojsku żołnierzowi dobrze i że oficerami ich porobią.

Nie chcę wymieniać nazwisk znajdujących się obecnie w legionie, nadmienię tylko, że jeden z nich był adwokatem w Warszawie, drugi kapitanem w wojsku rosyjskiem, trzeci rachmistrzem w banku, czwarty

artysta dramatyczny, dwóch artystów malarzy, jeden urzędnik telegrafista, jeden aptekarz, dwóch krawców, trzech szewców, trzech studentów etc. etc.

Zmarli za moich czasów w Tonkinie: Szczyciński, urzędnik z Królestwa Polskiego; Sydjobali (pseudonym) z Galicji; student Poniński i dwóch innych, których nie znałem. Dwóch polaków i jednego węgra; wszyscy trzej eksoficerowie austrjaccy, rozstrzelano w Hanoï za dezercję do Chin. (Chińczycy ich wydali po zawarciu pokoju). Okołowicz z Paryża, syn emigranta, zamordowany został w Tonkinie przez podoficerów na tak zwanej *„crapaudine"* (1). Matka jego żądała śledztwa u generała Boulanger'a, ówczesnego ministra wojny w Paryżu. Oddano pod sąd wojenny trzech podoficerów i kapitana, lecz jak zazwyczaj uznano ich za niewinnych. Doktor pułkowy wystawił świadectwo, że to nie *crapaudine*, lecz wódka go zabiła i na tem się skończyło.

Jest kilku polaków w Tonkinie, którzy występując w stopniu podoficerów z legionu, dostali się do milicji tonkińskiej jako szefowie postów Są to świetne stanowiska. Płaca 5000 franków rocznie. Odzienie, mieszkanie, a nawet życie nic ich prawie nie kosztuje bo kaczek, kur, indyków, zajęcy, masła, jaj, owoców, zgoła wszystko wieśniacy w podarunku im przynoszą. Szef postu, jako reprezentant rezydenta jeneralnego i protektoratu, ma czasem jakich kilkadziesiąt tysięcy ludności wraz z władzami annamickiemi pod swoimi rozkazami. Przytoczę tu ustep z listu jednego z rodaków.

„Obecnie jestem we wsi Lu-Yen, o 12 wiorst z Thaï-Nguyen, uformowałem tu *poste de milice*, małe urocze cacko, w którem żyję i panuję, jak udzielny książe. Mam ślicznego konika, doskonałą strzelbę, ładną kobiecinkę, tygrysów, jeleni, chińczyków pod dostatkiem etc. etc."

Szczęśliwy ten, co mu zdrowie w Tonkinie służy i klimat znosić może; lecz ten co zachoruje i zdrowie straci, odejść musi z legionu, jako niezdatny do służby, bez grosza; czerwone spodnie tylko mu zostawią, jako całe wynagrodzenie za 5-letnią służbę w armji francuskiej!

(„Wol. pol. Słowo").

Teatr.

Całe lato Lwów pozbawiony był teatru Chyba się już nie doczekamy tej przyjemności w lecie.

Sezon tedy rozpoczął p. Fiszer swoimi monodramami w sali kasyna mieszczańskiego, gdzie w tych dniach dawał przedstawienie. Pnbliczność zgromadziła się tak tłumnie, że biletów zabrakło. Tak zawsze bywa na przedstawieniach p. Gustawa Fiszera.

Nowe monodramy, które na tem przedstawieniu widzieliśmy: *Odgrywalski i Moryc, kelner z pod „Zielonego Drzewa"* posiadają istotną wartość literacką, a odegrane były równie, jak inne z tym przedziwnym humorem, z schwytaną w lot pyszną charakterystyką i komizmem, które są wybitnemi właściwościami niezrównanego talentu p. Fiszera.

W teatrze lwowskim sezon rozpoczęli *Lilipuci*, o których w następnym numerze *Iskry* podamy.

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

P. M. J. Sadowski, redaktor „Polaka w Ameryce" w Buffalo Otrzymaliśmy 48 złr., i użyjemy je na cel wskazany w liście.

Pp. Autorowie wierszy: „Bajka polityczna" i „Dwa węzły" — utwory panów drukowane nie będą.

Ze wstrętem zmuszeni jesteśmy podać do wiadomości publicznej, że pewne indywiduum, jako ajent dopuścił się w naszej administracji w 1877 r. wykrytej przez nas oszukańczej malwersacji z kartami kolejowemi, między innemi na szkodę znanego budowniczego lwowskiego, oraz sprzeniewierzenia pieniędzy z inseratów i prenumeraty, o czem było w swoim czasie publiczne ostrzeżenie, a tylko na usilne prośby jego ojca, redaktor nasz, nie podał skargi do sądu kryminalnego i oddalił malwersanta; że takich sprzeniewierzeń dopuścił się także na szkodę innych administracyj pism lwowskich. Wiadomo nam jest również, że to samo indywiduum było kelnerem w warszawskiej Dolinie Szwajcarskiej, zkąd nabroiwszy umknął, że później był cywilnym „szpiclem", (nie rewizorem) w lwowskiej policji, skąd go oddalono, że następnie, usługiwał, jako kelner po balach publicznych; później znowu zajmował się zbieraniem inseratów do pism i kalendarzy i w skutek tego miał proces kryminalny z jedną z tutejszych redakcji, oraz wywołał publicznie drukowane ostrzeżenie jednego z wydawców lwowskich.

Szczegóły te podajemy w skutek napadów na pisma nasze i ich redaktora w jakiejś obydnej publikacji, której indywiduum to niepojętym dla nas sposobem stało się konduktorem, gdyż oprócz powyższych zalet, jest kompletnie ograniczony w takich rzeczach i zaledwie czytać i nieortograficznie pisać umie.

Nie czytał tego, ani czytać nie będzie nasz redaktor — niniejsze wyjaśnienie, na które zaledwie się zdecydował, dajemy na usilne nalegania naszych przyjaciół — jest ono pierwsze, a ze względu na osobę tego indywiduum, pragnącego dla skandalicznej publikacji reklamy, i nie mającego nic, a nic do stracenia — musi być takie, a jeżeli już zajdzie konieczność, to na rozprawy z tego rodzaju „rycerzami", najodpowiedniejsze będą policja i sąd kryminalny, którym udzielimy najdokładniejszych szczegółów, informacyj, i dowodów.

Co zaś do pana drukarza, który się solidaryzuje z tego rodzaju panami, a który stał się specjalnym przedsiębiorcą drukowanych skandalów we Lwowie, pomówimy później oddzielnie i zaręczamy, że ani jemu na zdrowie, ani jego drukarni na pożytek nie wyjdzie. Postaramy się o to — i potrafimy.

Bliższych szczegółów zasięgnąć mogą interesowani w naszej administracji, oraz dowiedzieć się o świadkach i dowodach.

Administracja „Gońca" i „Iskry".

Nadesłane.

Hotel „pod 3 koronami" Ignacego Luksa w Stryju, czysto, elegancko i wygodnie urządzony, przy którym znajduje się doskonała restauracja, poleca się Szanownej Publiczności. (4461-2-2).

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn.

Z drukarni „Gazety Narodowej" ulica Kopernika l. 5. — Telefon Nr. 117.

Dodatek powieściowy na dalszych stronnicach.